

HISTORIA MÓWIONA JAKO HISTORIA FAKTYCZNA ALBO JAK „ODANTROPOLOGIZOWAĆ” OPOWIEŚCI O PRZESZŁOŚCI?

PIOTR FILIPKOWSKI

Trudno przewyciężyć kryzys reprezentacji. Rzeczywistość sobie – opowieści o rzeczywistości sobie. A że do tej pierwszej – jeśli w ogóle istnieje w jakimś „mocnym” sensie, bo i to od dawna nieoczywiste – nie sposób się dobić, pozostaje mocowanie się z tymi drugimi. Nie tylko, rzecz jasna, opowieściami w dosłownym znaczeniu, ale wszelkimi reprezentacjami, wszelkimi systemami znaków i ich mniej lub bardziej niestabilnych, migotliwych konstelacji. Czy ta diagnoza jest jeszcze aktualna? A jeśli tak – czy dotyczy całej humanistyki, czy tylko jej bardziej teoretycznych, bardziej refleksyjnych czy bardziej awangardowych odmian?

Oczywiście to rozpoznanie nigdy nie było zasadne dla całej humanistyki. Gdyby pokusić się o jakiś jej ilościowy pomiar – zestawiając katalogi publikacji, projektów naukowych, zainteresowań i praktyk badawczych jej adeptów – być może okazałoby się, że kolejne nawiedzające ją, a właściwie coraz gęściej zachodzące na siebie, „kryzysy reprezentacji” i obiecujące z nich wyjście „zwroty” mają raczej powierzchwny niż głębinowy charakter. Jednak to nie takie statystyki ani żmudne zestawienia kształtują obraz humanistyki, lecz perswazyjne głosy autorskie. Im bardziej oryginalne i nowe – tym lepiej. Przynajmniej dla wskaźników cytowań i akademickich karier ich autorów.

Nie ma więc większego znaczenia, co się dzieje w głębinach, skoro z brzegu, podobnie jak z każdego pływającego statku, niezależnie od tego, pod jaką banderą i po jakich konkretnie akwenach żeglują, widać niemal wyłącznie

powierzchnię wody. Ten widok wystarcza więc za podstawę diagnozowania o stanie morza. Więcej – kalibruje i rozkalibrowuje narzędzia pomiarowe tak, że trudno obracać kurs inny niż „zwrotny”. Antropologii z jej zaawansowaną refleksyjnością – zaawansowaną aż do stanów obezwładnienia – dotyczy to może bardziej niż innych humanistycznych przedsięwzięć¹. Ale wobec powszechnie rozpoznawanej „antropologizacji” całego humanistycznego obszaru (oceanu) obserwacje w niej poczynione dają się ostrożnie i nie zawsze wprost przenieść na inne akweny.

Wyplątać się z tej logiki – zejść z tego kursu – niełatwo, a może nie sposób. Chyba że ogłaszając kolejny „zwrot” – może w naiwnej nadziei, że tym razem się uda: rozwiązać jakiś poznawczy problem, a nie tylko przykuć uwagę słuchaczy na następną chwilę. Ostatnie projekty „humanistyki nieantropocentrycznej” czy rozmaite nawoływania do „powrotów do rzeczy” można chyba interpretować jako takie właśnie rozpaczliwe (a zarazem będące zapewne źródłem intelektualnej zabawy, obiecującej w dodatku tak pożądaną efekt nowości) próby wyjścia na prostą, ugruntowania naszej wiedzy gdzieś poza nami i naszymi rozregulowanymi przyrządami pomiarowymi i aparatami nawigacyjnymi.

„POZYTYWISTYCZNE” I INNE HISTORIE MÓWIONE

Ale jak ma się to ma do historii mówionej? Chociaż tej coraz bardziej popularnej w naszym kraju i, szerzej, w naszej części świata praktyki dokumentacyjno-badawczej nie sposób jednoznacznie wpisać w któryś z tych licznych zwrotów, to ma ona z nimi sporo wspólnego. A ściślej – kryzys reprezentacji jej dzisiaj także dotyczy. Albo, może trafniej: jej także dotyka. Ze szkodą dla takiego rozumienia i traktowania historii mówionej, do jakiego w swoim tekście zamieszczonym w tym tomie zachęca Tomasz Rakowski.

Jaki to sposób? Odpowiadając najkrócej, dwoma słowami: historycznie poważny. To znaczy taki, który z opowieści świadków historii o ich doświadczeniach z przeszłości wyławia to, co autor nazywa „wiedzą pewną”. Mówię „wyławia”, a nie „traktuje jako”, żeby od razu na wstępie podkreślić, że pisanie historii (a nie „tylko” uprawianie antropologii, socjologii, studiów nad pamięcią itd.) w oparciu o ten typ źródeł i o tę metodę wymaga dodatkowego wysiłku. I, dodałbym od siebie, szczególnej badawczej wrażliwości – którą dzisiaj

¹ Zwięzłe, przystępne, a przy tym wnikliwie omówienie tego kryzysu wraz z przykładami jego przezwyciężania w antropologii daje G. Godlewski w tekście *Antropologia kultury: zacieranie granic*, [w:] *Granice kultury*, red. A. Gwóźdź, M. Kempna-Pieniążek, Katowice 2010.

nazwałbym etnograficzną czy antropologiczną właśnie. I która nie zawsze jest na wyposażeniu historyków – choć bez wątpienia bywa. Od początków też bywała – i to nie wymagając żadnych specjalnych dookreśleń. Wystarczy przywołać, co historycy sięgający po wywiady chętnie zresztą czynią, prace Herodota czy Tukidydesa. Jednak wobec pozytywizacji historiografii, jaka się w międzyczasie zdarzyła, projekt historii mówionej jako „wiedzy pewnej” jest dzisiaj ambitniejszy i trudniejszy, niż się na pozór wydaje. Niemniej przez to potrzebny i pilny.

Trudność nie ogranicza się jednak tylko do specyfiki źródeł mówionych jako źródeł wywołanych, opartych na osobistym kontakcie między dwoma (i więcej) ludźmi. Kontakcie, który – jak każdy międzyludzki – udaje się raz „lepiej”, raz „gorzej”, co ma przecież fundamentalny wpływ na ostateczną formę i treść źródła mówionego, na jego jakość i użyteczność – jako źródła historycznego właśnie (a nie materiału badawczego do, dajmy na to, analizy konwersacyjnej). Tę trudność jednak da się w pewnej, nawet dużej, mierze przezwyciężyć. I nie tylko w przyszłości, ale już teraz – sięgając do archiwów historii mówionej, archiwów etnograficznych, archiwów danych jakościowych. Mamy ich w Polsce coraz więcej – a w nich coraz więcej różnorodnych, indywidualnych opowieści świadków historii, biograficznych opowieści o przeszłości – przedwojennej, wojennej, powojennej, transformacyjnej czy najbardziej niedawnej, niemal „natychmiastowej”. A można je przecież kategoryzować na wiele rozmaitych sposobów – zupełnie inaczej niż według chronologicznego klucza.

Te już istniejące, zarchiwizowane źródła historii mówionej pozostają w przeważającej mierze niewykorzystane albo wykorzystane jedynie częściowo, bardzo fragmentarycznie. Nawet jeśli korzystanie ze źródeł cudzych, wywołanych przez innego badacza, odcina pewien kontekst interpretacyjny, to przecież nie unicestwia możliwości i sensowności interpretacji jako takiej. Zwłaszcza w badaniach historycznych, o które tu chodzi. Wszak archiwizowanie i udostępnianie dla innych badaczy oryginalnych, źródłowych zapisów opowieści świadków jest częścią wielu klasycznych definicji *oral history*. W ogóle przez długi czas rozumiano tę praktykę, szczególnie w USA, jako ściśle powiązaną z archiwistyką i archiwizacją. Kolokwialnie mówiąc – chodziło o uzupełnienie historycznych źródeł poprzez stworzenie nowego ich typu: zapisów opowiedzianych wspomnień. Te źródła miały poszerzyć obszar historycznej eksploracji o terytoria niedostępne dla źródeł pisanych, nieuchwytne dla piśmienniczych praktyk reprezentacji.

To jednak działo się dawno – kilkadziesiąt lat temu. I daleko – w USA, później w Europie Zachodniej. Historia mówiona ma już swoją historię. Nie bardzo długą, ale ujawniającą wyraźnie jej rozwój, rozmaite fazy i zwroty, zmiany sposobów jej rozumienia i zmiany miejsca, jakie zajmowała w badaniach

historycznych. Nawet jeśli lokowała się i nadal lokuje na ich marginesach, to nie zawsze na tych samych. Niektórzy mówią wręcz o zmianach paradygmatycznych w *oral history* na przestrzeni tych kilku powojennych dekad. W często przywoływanym przy tej okazji tekście Alistaira Thomsona mowa o czterech takich głównych przesunięciach czy „transformacjach paradygmatycznych” w historii *oral history*².

Pierwszy powojenny etap rozwoju tej metody badawczej wiąże z renesansem zainteresowania pamięcią jako źródłem w badaniach historycznych – dotyczących tak elit politycznych (pierwsze projekty *oral history* w USA inicjowane przez Allana Nevinsa), jak i „zwykłych ludzi” (wywiady z robotnikami tworzące brytyjską tradycję *oral history* jako zaangażowanej historii społecznej). Najbardziej znanym przedstawicielem tego klasycznego nurtu jest Paul Thompson, a najmocniejszą kodyfikacją jego książka *Oral History. The Voice of the Past* z roku 1978 – potem jeszcze dwukrotnie wznawiana i tłumaczona na wiele języków³.

Drugi etap rozwoju historii mówionej, datowany od końca lat siedemdziesiątych XX wieku, ściśle wiąże się ze zwrotem lingwistycznym czy – szerzej – kulturowym w humanistyce. Charakteryzuje go odejście od traktowania wywiadów jako źródła wiedzy o historycznych faktach na rzecz zainteresowania pamięcią i subiektywnością rozmówców. Pamięcią i subiektywnością jako taką – a nie ich „zakłóceniami”, które utrudniają dotarcie do historycznej prawdy. Takie podejście badawcze reprezentują – i we własnych badaniach, i w licznych tekstach metodologicznych i teoretycznych – m.in.: Ronald J. Grele, Michael Frisch, Alessandro Portelli czy Luisa Passerini, by wymienić kilka najważniejszych nazwisk. Tu też nagrywa się i analizuje opowieści „zwykłych ludzi”, często robotników⁴, ale już nie po to głównie, by wydobyć prawdę ich doświadczenia pozostającą w kontrze, a przynajmniej w jakimś napięciu, wobec elitarniej, konserwatywnej, akademickiej historiografii, ale raczej po to, by pokazać społeczne mechanizmy tworzenia pamięci, narracji, zbiorowych mitów i ideologii. Niekoniecznie zresztą w celach demistyfikacyjnych, ale także by podkreślać ich sensotwórczą i wspólnototwórczą rolę.

Swoistym rozwinięciem tej tradycji badawczej jest wykorzystanie *oral history* jako środka do upodmiotowienia i emancypacji różnych grup rozmów-

² A. Thomson, *Four Paradigm Transformations in Oral History*, „The Oral History Review”, 2006, t. 34, nr 1, ss. 49–70.

³ P. Thompson, *The Voice of the Past: Oral History*, Oxford 2000.

⁴ Na przykład: A. Portelli, *The Death of Luigi Trastulli and Other Stories. Form and Meaning in Oral History*, Albany 1991 oraz L. Passerini, *Work Ideology and Consensus under Italian Fascism*, „History Workshop Journal”, 1979, t. 8, ss. 82–108.

ców: ludzi starszych, młodzieży, migrantów, mniejszości etnicznych, religijnych, seksualnych, grup społecznie marginalizowanych i upośledzonych. Także jako narzędzia edukacji – może nawet nie tyle *stricte* historycznej, co politycznej i społecznej. Tu wpisują się po części rozmaite, liczne projekty dokumentacyjne i badawcze, dotyczące różnych grup ofiar, w które tak obfituje dwudziestowieczna (ale już także zupełnie współczesna – aż do wczorajszej) historia. Zapisywanie doświadczenia i pamięci ofiar drugiej wojny światowej, przede wszystkim Żydów ocalałych z Zagłady, ma charakter fundujący dla tego nurtu historii mówionej. Dziś mieści się w nim całe spektrum „postkolonialnych” projektów rekonyliacyjnych wraz z różnymi komisjami „prawdy i pojednania”. Choć te ostatnie wymagają niekiedy istnej ekwilibrystyki w dokumentowaniu skonfliktowanej i traumatyzowanej pamięci świadków.

Kolejna, trzecia transformacja wyróżniona przez Thomsona i datowana na następną dekadę (koniec lat osiemdziesiątych XX wieku) polega na zakwestionowaniu obiektywności pozycji historyka oralisty, nagrywającego i interpretującego opowieści świadków. Teraz już nie tylko po drugiej stronie mikrofonu rozmywa się nam historyczna prawda, a jedyne, co (i to: co najwyżej) pozostaje do badawczej eksploracji, to pamięć i narracja (i to raczej „społeczna” i „kulturowa” niż jakkolwiek „własna”). Ale i po tej, po naszej, stronie stabilny grunt ucieka spod nóg. Historia mówiona staje się przede wszystkim rozmową, dialogiem, interakcją, w którą zaangażowane są dwie podmiotowości, a za nimi różne społeczne światy, odmienne wizje rzeczywistości. To sam moment spotkania wymaga teraz specjalnej uwagi, a może i skrupulatnych analiz, które przesłaniają nieraz historyczne doświadczenia jednej ze stron tego dialogu, z powodu których do spotkania w ogóle doszło. W tym urefleksyjnieniu samego siebie i swojej pozycji w procesie badawczym wyraźnie widać mocny wpływ antropologii, socjologii jakościowej, ale także studiów literackich i biograficznych⁵. W tym samym mniej więcej czasie rośnie popularność studiów nad pamięcią (*memory studies*), które stają się teoretycznym zapleczem wielu przedsięwzięć badawczych spod znaku *oral history*. To aktywne sąsiedztwo obu pól badawczych trwa zresztą do dzisiaj – pokazała to choćby ostatnia warszawska konferencja z cyklu Genealogie Pamięci, zatytułowana „Collective vs Collected Memories. 1989–91 from an Oral History Perspective”⁶.

⁵ A. Thompon, *Four Paradigm Transformations...*, s. 63; vide także: V.R. Yow, ‘Do I Like Them Too Much?’ *Effects of the Oral History Interview on the Interviewer and Vice Versa*, „Oral History Review”, 1997, t. 24, ss. 55–79.

⁶ Programy, abstrakty oraz zapisy wystąpień z ostatniej i wszystkich poprzednich edycji tej konferencji można znaleźć na stronie internetowej: <http://genealogies.enrs.eu/>, data dostępu: 7.09.2015.

Wreszcie ostatni zwrot opisywany przez Thompsona wiąże się z rewolucją cyfrową późnych lat dziewięćdziesiątych XX wieku i początku wieku XXI. Najbardziej uchwytym jej skutkiem jest umiędzynarodowienie historii mówionej, intensyfikacja kontaktów między badaczami z różnych krajów, wspólne przedsięwzięcia badawcze i publikacje. Ale jeszcze ważniejsza, bo dotycząca samej istoty tej praktyki badawczej, a nie tylko obiegów komunikacyjnych, w jakich funkcjonują badacze, jest zmiana w sposobie rejestrowania głosu i obrazu. I dalej w sposobach ich przechowywania, udostępniania i – najważniejsze – analizowania. Po(d)ręczne cyfrowe urządzenia nagrywające, archiwa gromadzące setki i tysiące wywiadów, katalogi i indeksy wyszukiwawcze, programy do analizy danych, wreszcie nowe formy prezentacji materiału badawczego przełamujące dominację tekstualności w praktyce akademickiej. To wszystko sygnalizuje być może głębokie zmiany w sposobach zbiorowego pamiętania i opowiadania o przeszłości. Tak radykalna zmiana medium przekazu nie może pozostać obojętna dla treści tego przekazu – jeśli w ogóle treść i forma dają się jeszcze przekonująco rozdzielić⁷.

Te kolejne fazy rozwoju *oral history* wyróżnione przez Thompsona – a można by je niuansować i rozszerzać na różne sposoby, przywołując ujęcia innych autorów (w szczególności może Ronalda Grele'a⁸) – nie następują po sobie w porządku chronologicznym. A dokładniej – pojawiają się nowego paradygmatu nie unicestwia starego. Przeciwnie, nakładają się one na siebie, współistnieją równolegle. Tradycyjne, 'pozytywistyczne' badania oparte na wywiadach ze świadkami są ciągle realizowane, klasyczna książka Thompsona cieszy się nadal wielką popularnością wśród praktyków i teoretyków *oral history*. Realizowane są liczne projekty dokumentujące pamięć doświadczeń ekstremalnych – ich funkcja bywa tyle dokumentacyjna i badawcza, co upamiętniająca (czy jak się to bardziej uczenie dziś mawia: komemoracyjna). Sprzyja temu boom muzealny, jaki obserwujemy na świecie, także w Polsce, w ostatnich latach. Niemal każde z nowo powstałych muzeów historycznych prowadzi swoje projekty, a nieraz rozbudowane archiwa historii mówionej. Są wreszcie, nie aż tak liczne, jak można by się spodziewać wobec dostępności źródeł, wnikliwe analizy pamięci i narracji rozmówców/świadków. Analizy, które w różnym stopniu i na różne sposoby uwzględniają historyczne fakty i historyczne doświadczenia tych ludzi „tam i wtedy”, w przeszłości⁹.

⁷ A. Thomson, *Four Paradigm Transformations...*, s. 69.

⁸ Z nowszych przeglądowych tekstów vide: R. Grele, *Oral History as Evidence*, [w:] *History of Oral History. Foundation and Methodology*, red. T.L. Charlton, L. Myers, R. Sharpless, L.R. Ballard, Lanham–New York–Toronto–Plymouth, UK 2007, ss. 33–91.

⁹ Przywołam tu jeden, za to bardzo wyraźny, przykład. W oparciu o świadectwa mówione

Choć daje się wychwycić dominujące w danym momencie – zwykle przez chwilę – *teoretyczne* propozycje pojmowania i interpretacji wywiadów historii mówionej, to daleko do jedności, a choćby podobieństwa konkretnych *praktyk* badawczych opartych na tej metodzie. Po prostu nie ma jednej historii mówionej, lecz istnieje historycznie i – by tak powiedzieć – paradygmatycznie uwarunkowana wielość sposobów jej praktykowania i teoretyzowania o niej. Przy czym centralny podział stanowisk wyznacza tu stosunek do zwrotu językowego czy kryzysu reprezentacji. A zatem scharakteryzowane przez Thomsona „zwroty paradygmatyczne” wcale nie są równoważne, a przejście między nimi nie jest aż tak gładkie. Zwłaszcza pierwszy z tych zwrotów zasługuje na mocniejsze wyróżnienie – wiąże się bowiem z zasadniczym, by tak rzec istotowym, przekształceniem historiograficznym: stworzeniem nowej wizji świata historycznego i nowej metodologii jego badań. Metodologii, w której historia mówiona zajmuje bardzo ważne, a nie – jak przedtem – pomocnicze miejsce. Tu, w tym zwrocie, rodzi się jej wyrazistość i samoistość¹⁰. Drugi różnicujący moment, który w istotny sposób wpływa na współczesne podziały w obrębie *oral history*, to moment etyczny. Zaangażowanie w „przywracanie pamięci” i upodmiotowienie rozmówców jako historycznych aktorów – z jednej strony. Krytyczny i nieufny stosunek do wspomnieniowego „dyskursu” i „figury świadka” – z drugiej. W tych rozmaitych napięciach rozstrzyga się, jak sądzę, stopień „antropologizacji” historii mówionej. A może historii jako dyscypliny humanistycznej w ogóle.

Dobrze pokazuje to najnowsza, wedle mojego rozeznania, przeglądowa praca Lynn Abrams o nieco zagadkowym tytule *Oral History Theory*¹¹ (Abrams 2010), próbująca spojrzeć na całość *oral history* jako pewną wyodrębnioną dyscyplinę badawczą – przynależną jednak zasadniczo do nauk historycznych, nauk o przeszłości. Chociaż spis treści zupełnie na to nie wskazuje – tytuły kolejnych rozdziałów brzmią tak: *The peculiarities of oral history, Self, Subjectivity and*

znalezione w archiwach oraz zebrane przez siebie amerykański badacz Christopher Browning napisał znakomitą monografię historyczną obozu pracy w Wierzbniku (Starachowicach). Pokazał przy okazji – i to w sposób niezwykle samoświadomy metodologicznie – że wywiady nagrywane wiele lat po zdarzeniach, do których się odnoszą, poddane uważnej i krytycznej analizie mogą służyć za źródłową podstawę całkiem klasycznych badań historycznych. Przykład jest wyrazisty dlatego, że mówione świadectwa Zagłady są wykorzystywane częściej w badaniach nad pamięcią, w analizach narracji czy traumy ocalańców niż w badaniach *stricto* historycznych. Polskie wydanie: Ch. Browning, *Pamięć przetrwania. Nazistowski obóz pracy oczami więźniów*, Czarne 2012.

¹⁰ Serdecznie dziękuję anonimowemu recenzentowi tego artykułu za wnikliwe komentarze do tego fragmentu tekstu i zwrócenie uwagi na nierównoważność owych „zwrotów paradygmatycznych” w historii mówionej oraz ich powiązanie z szerszymi przemianami w teorii historii.

¹¹ L. Abrams, *Oral History Theory*, London–New York 2010.

intersubjectivity, Memory, Narrative, Performance, Power and Empowerment – i chociaż autorka zdecydowanie opowiada się za „antropologizacją” historii mówionej, to w rozdziale otwierającym książkę pisze:

Oral history jako ‘historia ratownicza’ (‘recovery history’), praktyka nagrywania i ludzi w celu uzyskania dowodów (*evidence*) dotyczących przeszłych wydarzeń, których nie da się znaleźć w konwencjonalnych, zwykle pisanych, źródłach historycznych, albo w celu wydobywania ukrytych historii pojedynczych osób lub grup, które przemknęły nieodnotowane w świadectwach głównego nurtu, była dominującym trendem w praktyce historii mówionej w latach 70. i 80. Chociaż takie rozumienie historii mówionej może się dzisiaj wydawać zbyt wąskie, cel rekonstrukcyjny pozostaje ciągle podstawową (i w pełni uprawnioną) motywacją wielu współczesnych projektów badawczych¹².

Potwierdzeniem są liczne cytowane w tej publikacji prace oparte na wywołanych źródłach mówionych, na wywiadach, które w istotny sposób zmieniły stan historycznej wiedzy o jakichś doświadczeniach, wydarzeniach, procesach... słowem, o faktach z przeszłości. Zresztą i dalsze, „antropologizujące”, rozważania autorki – zdecydowanie przekraczające taką faktograficzną perspektywę – nie kwestionują elementarnej, dokumentacyjnej wartości źródeł mówionych. A nawet więcej, pokazują, że takie antropologiczne – czy po prostu refleksyjne i teoretycznie ugruntowane – traktowanie historii mówionej zostało *nadbudowane* – i nadal *nadbudowuje się* – na pewnym, może nawet nie zawsze uświadomionym konsensusie co do istnienia jakiejś faktycznej historycznej podstawy zapisywanych i interpretowanych opowieści o przeszłości. To ostatnie stwierdzenie nie oznacza, rzecz jasna, że wywiady *oral history* można czy należy traktować jako po prostu historycznie prawdziwe. Oznacza raczej, że tym, co łączy praktykujących historię mówioną, jest przekonanie, iż rozmowa z ludźmi o ich przeszłości ma sens – także historyczny¹³.

GDZIE JESTEŚMY Z NASZĄ HISTORIĄ MÓWIONĄ?

Po co ta przydługa – chociaż bardzo pobieżna przecież – wycieczka w historię ‘zagranicznej’ historii mówionej i skrótkowy przegląd jej podstawowych paradygmatów? Po to, byśmy zdali sobie lepiej sprawę z miejsca, w jakim

¹² Ibid., s. 5 (przeł. P. Filipkowski).

¹³ Ibid., s. 9 (przeł. P. Filipkowski).

znajduje się nasza rodzima historia mówiona. Na pierwszy rzut oka polska *oral history* ma się dziś znakomicie. Powstają jej nowe, także niewielkie, lokalne archiwa, a te znane, o ugruntowanej pozycji funkcjonujące w ramach Domu Spotkań z Historią i Ośrodka KARTA, Ośrodka Brama Grodzka czy Muzeum Powstania Warszawskiego, sukcesywnie powiększają i opracowują swoje kolekcje; od siedmiu lat działa Polskie Towarzystwo Historii Mówionej, organizujące coroczne konferencje, seminaria i warsztaty, od czterech ukazuje się recenzowany „Wrocławski Rocznik Historii Mówionej” (dostępny w całości także w wolnym dostępie na stronie: <http://www.pamieciprzyszlosc.pl/pl/rocznik>), wychodzą prace badawcze oparte w całości albo w zasadniczej części na wywiadach ze „świadkami historii” – czy to mające charakter monografii naukowych (ostatnio np. Wylegała 2014¹⁴; Kurpiel 2015¹⁵), czy to opatrzonych naukowymi komentarzami i przypisami, zredagowanych i ułożonych w historyczną opowieść fragmentów wywiadów (ostatnio np. Pałka, Venken, Zalewski 2013¹⁶; Borchers, Madoń-Mitzner 2014¹⁷). Nie brak także rozmaitych projektów animacyjnych, lokalnych, środowiskowych. A nawet teatralnych, jeśli za teatralną historię mówioną uznać niedawne spektakle Teatru Ósmego Dnia z Poznania. Myślę o *Osadzonych. Młyńska 1 i Ceglorszu* – oba te przedstawienia oparte są na rozmowach aktorów ze świadkami – więźniami zakładu karnego przy ul. Młyńskiej w Poznaniu i robotnikami z Zakładów Cegielskiego w tym mieście (ten drugi spektakl prezentowany był w jednej z nieczynnych fabrycznych hal tych zakładów, co dodatkowo wzmacniało jego dokumentacyjny przekaz).

Można wydłużać tę listę i cieszyć się z rozwoju historii mówionej w Polsce. Jeśli jednak ten rozwój wartościować jako sukces, to jest to sukces połowiczny. Z różnych powodów nie przeszliśmy bowiem drogi – ani historycznej, ani paradygmatycznej – jaką przeszła zachodnia *oral history*. A przynajmniej ta jej część (bo przecież w różnych krajach było różnie), którą da się, choćby w przybliżeniu, opisać paradygmatycznym modelem Thomsona. Nie *nadbudowujemy* naszych praktyk dokumentacyjnych, naszych analiz i naszego teoretyzowania o historii mówionej na solidnym fundamencie badań historycznych, które opierałyby się na źródłach wywołanych, na relacjach świadków. Wobec tego (braku) odwołujemy się wybiórczo, bo inaczej się nie da, do różnych wątków

¹⁴ A. Wylegała, *Przesiedlenia a pamięć. Studium (nie)pamięci społecznej na przykładzie ukraińskiej Galicji i polskich „Ziem Odzyskanych”*, Toruń 2014.

¹⁵ A. Kurpiel, *Cztery nazwiska, dwa imiona. Macedońscy uchodźcy wojenni na Dolnym Śląsku*, Poznań 2015.

¹⁶ J. Pałka, M. Venken, K. Zalewski, *Żołnierze generała Maczka. Doświadczenie i pamięć wojny*, Gdańsk 2013.

¹⁷ R. Borchers, K. Madoń-Mitzner, *Wojna na Kaszubach. Pamięć polskich i niemieckich świadków*, Gdańsk 2014.

zachodniej tradycji historii mówionej, do różnych momentów jej rozwoju i do różnych jej paradygmatów, przysposabiając je do zgromadzonych przez siebie źródeł (najczęściej samodzielnie nagranych wywiadów, rzadziej tych dostępnych w archiwach) oraz naszych temperamentów badawczych.

To „my”, które tutaj projektują, dotyczy zresztą przede wszystkim socjologów i antropologów (etnografów, kulturoznawców), w znacznie mniejszym stopniu historyków. Nawet jeśli ci ostatni powołują się na „klasyczny” tekst Krystyny Kersten z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, zachęcający do korzystania ze źródeł wywołanych w badaniach historycznych¹⁸ (co oczywiście nie jest jeszcze w pełni tożsame z historią mówioną), pokazując metodologiczną żywotność, samodzielność i otwartość rodzimej historiografii, to trudno im zbudować ciąg dalszy tej opowieści. A jeszcze trudniej wskazać przykłady konkretnych prac historycznych, które zrywałyby z przywiązaniem do badań archiwalnych i dokumentów pisanych. To zerwanie w dużej mierze zdecydowało o wyrazistości *oral history* na Zachodzie. Sygnalizuję tu jedynie wątek, który wymagałby osobnego namysłu.

Tej dyscyplinarnej separacji (zagłuszanej, jak to dzisiaj powszechne, nawoływaniem do i zapewnieniami o „inter-” albo „trans-dyscyplinarności”) sprzyja dodatkowo, i nieco paradoksalnie, rodzima tradycja socjologicznych badań biograficznych. Kiedyś oparta na wywoływanych konkursami pamiętnikach, przede wszystkim robotników i chłopów, a dziś na wywiadach biograficzno-narracyjnych, metodzie inspirowanej szkołą niemiecką (Fritz Schütze, Gabriele Rosenthal, Gerhard Riemann, Martin Kohli i inni – tu odsyłam do niedawno wydanej pokaznej antologii tekstów pod redakcją Kai Kaźmierskiej¹⁹). Bo chociaż jest to tradycja odrębna i samodzielna w stosunku do *oral history*, to wchodzi z tą ostatnią w łatwe sojusze – przynajmniej na poziomie podstawowym: rodzaju pozyskiwanych danych badawczych (źródeł), czyli sposobów dostępu do badanej rzeczywistości.

Taka historia mówiona, słabo osadzona w rodzimej tradycji historiograficznej, uprawiana głównie przez socjologów i antropologów, nie jest w stanie – a w każdym razie nie była dotąd w stanie – zaproponować na większą, społecznie znaczącą, publicznie widoczną skalę jakiejś nowej, innej niż dominująca, „wiedzy pewnej” o naszej niedawnej, powiedzmy powojennej, przeszłości (z wojenną – w szczególności zagładową, obozową i łagrową – jest nieco inaczej, tam świadectwa mówione mają z różnych, także etycznych powodów, pewniej-

¹⁸ K. Kersten, *Relacje jako typ źródła historycznego*, [w]: *Pamiętnik X Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Lublinie 17–21 września 1968 r.*, Warszawa 1968, s. 316–329.

¹⁹ *Metoda biograficzna w socjologii. Antologia przekładów*, red. K. Kaźmierska, Kraków 2012.

szy status; ale to osobny, duży temat, który zostawiam tu bez rozwinięcia). Jakiejś innej historii, o którą – myślę, że bardzo zasadnie – dopomina się tutaj Tomasz Rakowski.

Jest to jednak znowu, co za pech, dopominanie się antropologa, głos etnografa, który bywa między ludźmi i z ludźmi o ich przeszłych sprawach rozmawia. Pech dla tej sprawy („odantropologizowania” historii mówionej), ale przecież nie przypadek. Z trudem mogę sobie bowiem wyobrazić, by podobny głos wyszedł od badacza pracującego w archiwach źródeł „aktowych”. Choć stamtąd też dochodzą postulaty przepisania naszej najnowszej historii, co więcej, podejmowane są takie liczne próby (wystarczy przejrzeć obszerne katalogi publikacji Instytutu Pamięci Narodowej z ostatnich kilku lat), to nie o taką polityczną, i mimo pozornego radykalizmu bardzo powierzchowną, korektę naszej historycznej samowiedzy nam przecież chodzi. Nie o zwykłe przedstawienie wektorów moralnego osądu, ale głębsze zmiany w sposobach (a może i zasadach) naszej społecznej samowiedzy historycznej.

FAKTY NICZYJE I FAKTY CZYJŚ

O jaką zatem zmianę mogłoby chodzić? By ją zobrazować i lepiej zrozumieć – także dla samego siebie – chcę sięgnąć do zapisu wywiadu z panią Elżbietą Szewczyk, z którą Tomasz Rakowski wielokrotnie spotykał się i rozmawiał w czasie swoich badań, a potem pracy animacyjnej na południowym Mazowszu. Nie odkrywam tu żadnego nowego źródła – ten wywiad był już przez niego wielokrotnie przywoływany i we fragmentach analizowany. Jest też przecież jednym z głównych punktów empirycznego podparcia argumentacji wyłożonej w jego tekście zamieszczonym w tym tomie.

Zupełnie nie ma tu miejsca na wnikliwą, skrupulatną analizę całego wywiadu, jego wielu rozmaitych poziomów i wymiarów. Szkoda, bo widać na tym przykładzie bardzo wyraźnie, że opowieść świadka historii o jego (przeszłym) życiu i świecie to złożona struktura narracyjna, która odsyła nas, interpretatorów, w bardzo różnych kierunkach – raz bardziej do historycznych faktów, innym razem do wewnętrznych przeżyć, emocji i stanów „ducha”, nierzadko do też do zbiorowych wyobrażeń i wzorów pamięci, jeszcze w innych miejscach odsłania swój dialogiczny charakter, ukierunkowanie na podtrzymanie komunikacji z prowadzącym rozmowę (i wyobrażonymi jej słuchaczami/czytelnikami), na zachowanie reguł i konwencji konwersacyjnych. I tak dalej, i dalej – te możliwe konteksty interpretacyjne można mnożyć w przypadku każdego niemal wywiadu *oral history*. Oczywiście im jest dłuższy i narracyjnie gęstszy, tym jest to łatwiejsze. Chociaż w literaturze teoretycznej dotyczącej *oral history* już dawno

rozpoznano wielogatunkową złożoność opowieści rozmówców, w ciągle powracających dyskusjach o statusie historii mówionej z uporem powracają jego zredukowane i nieprawdziwe figury. I dotyczy to niestety wszystkich stron sporów. Cóż, prawie każdy wywiad dostarcza cytatów na poparcie bardzo różnych, także zupełnie sprzecznych uogólnień na rozmaite tematy. By daleko nie szukać: przytoczony przez Tomasza Rakowskiego cytat z tekstu profesora Andrzeja Paczkowskiego, znakomitego przecież historyka, kwestionujący faktograficzną wartość relacji świadka, mylącego się co do wysokości nakładu i wartości zysku ze sprzedaży pisma, którego był sekretarzem, ujawnia nieadekwatne oczekiwania co do faktograficznej wartości i wiarygodności tych wywiadów. Oczywiście ów sekretarz mógł się pomylić, mógł tego nie wiedzieć i tylko spekulować na potrzeby rozmowy, mógł też (i zdaje się pada tam sugestia, że chodzi o ten właśnie przypadek) chcieć się wykazać przed historykiem innymi niż rzeczywiste „wynikami” pisma, w którego wydawanie był zaangażowany. Każda z tych interpretacji coś o nim mówi, może też o jego pracy i świecie (komu jeszcze i po co się chwalił? kto mógł uwierzyć w zawyżone nakłady pisma i co z tego mogło wynikać? itp, itd.) – choć żadna nie zmienia ani o jeden egzemplarz rzeczywistej wysokości nakładu. Chodzi jednak o rzecz ogólniejszą i bardziej fundamentalną – o typ faktyczności, którego szukamy w wywiadach *oral history*. Przypuszczam, że z opowieści tego redaktora zdołalibyśmy, przy odrobinie dobrej woli, wydobyć inne, historycznie istotne, bardziej dla niego naoczne fakty. Dlatego więźniów obozu nie warto pytać o liczbę jego ofiar (choć zapewne ją znają – bo dowiedzieli się od historyków i zapamiętali), a mieszkańców Broniowa o liczbę jego mieszkańców (mimo że to mała miejscowość, gdzie „wszyscy się znają”). Porzućmy tę dygresję i idźmy już bez zwłoki do kilku historycznych faktów powołanych do życia przez panią Elżbietę.

Sporo już wiemy o rozmówczyni, Tomasz Rakowski zarysował nam jej obraz, pisząc w kilku miejscach o jej aktywności, zaradności, sprawczości oraz – i to jest dla niego najważniejsze – orientacji w sprawach wspólnych, wspólnotowych, sprawach całej wsi, a nie tylko zaangażowaniu w troski własne czy rodzinne²⁰. Tych aktywności jest bardzo wiele, nie będę ich tu wyliczał. Istotne w tym miejscu jest to, że nie były to aktywności tylko spontaniczne, strukturyzowane niejako samoistnie, mocą etycznych więzi, sąsiedzkich relacji, lokalnego auto-

²⁰ T. Rakowski, *Elżbieta Szewczyk i skok do królestwa wolności*, [w:] *Peryferie kultury. Szkice ofiarowane w darze profesorowi Rochowi Sulimie*, red. R. Chymkowski, Ł. Bukowiecki, M. Czermazowicz, W.K. Pessel, M. Zimniak-Hałajko, Warszawa 2013 oraz T. Rakowski, *Alternatywne historie myśli socjologicznej. Działania, imaginacje, pragnienia*, [w:] *Etnografia/Animacja/Sztuka. Nierozpoznane wymiary rozwoju kulturalnego*, red. T. Rakowski z Zespołem, Warszawa 2013.

rytetu. Pani Elżbieta była przez wiele lat członkiem Gromadzkiej Rady Narodowej – a więc ta jej niezwykajna aktywność i ponadprzeciętna społeczna energia miały, przynajmniej w części, wyraźne instytucjonalne ramy. Można by powiedzieć – że była „we władzach”, choć ona sama tak nigdzie nie mówi i raczej by nigdy nie powiedziała. To niby drobiazg, ale ogromnie istotny – bo od tego nazywania rzeczy, spraw, sytuacji, zdarzeń, ludzi... faktów zaczyna się przecież każde opowiadanie historii (i każdej jej pisanie). Historia mówiona w sposób szczególnie uczy uważności (powinna jej uczyć) na to, jakie słowa wprawiane są w ruch.

Mało tego [że byłam w Gromadzkiej Radzie – P.F.], mało tego, że, jako, że, no powiedzmy jedyna oświecona, może tam ktoś jeszcze był po siedmiu klasach, ja tego nie wiem, nawet już nie pamiętam składu dokładnie tej rady, ale byłam taką jedyną osobą, która już tam miała z tą oświatą do czynienia i zostałam – było jeszcze coś takiego jak Komitet Frontu Jedności Narodu. Przy każdej Gromadzkiej Radzie. W skład tego Komitetu wchodziło nie tylko radni, ale jeszcze sołtysi, jeszcze jacyś tam aktywiści z poszczególnych wiosek. Tak że był to taki powszechny, powiedzmy, no jakiś klimat do – nazywało się to, tak ładnie: Front Jedności Narodu. I ja zostałam wybrana przewodniczącą tego Frontu Jedności Narodu [śmiech]. Byłam w gminie, w tej Gromadzkiej Radzie zrobiona przewodniczącą tego Frontu Jedności Narodu. [...]

Później, to już tu, kiedy byłam w tej radzie tutaj, już gminnej, już to była gminna rada, nie Gromadzka w Chlewiskach, już na tym terenie, gdzie jestem obecnie. Też pierwsze dostaliśmy, też dostaliśmy zeszyty, ale już był długopis. I dostałam legitymację, którą mam jeszcze po dziś dzień, upoważniała mnie do bezpłatnych przejazdów na autobusy, ale tylko droga gmina–powiat. Czyli Chlewiska–Szydłowiec mogłam bezpłatnie jeździć. Dalej po Polsce już nie, ale Szydłowiec–Chlewiska mogłam. I, i przypominam sobie tam takie historie, bo konduktor był przecież wtedy w tych autobusach PKS-owskich, sprawdzał bilety i jak ja wyjmowałam tę legitymację, jako radna Gminnej Rady, do kontroli – taka byłam dumna, jakbym była co najmniej ministrem, że oto ja jestem radna. Że to, bo to upoważniało mnie do tych przejazdów. Byłam po prostu dumna z tego, że oto mogę być...²¹

²¹ Wszystkie wypowiedzi pani Elżbiety Szewczyk pochodzą z wywiadu przeprowadzonego z nią w Broniowie przez Tomasza Rakowskiego 4 lipca 2013 roku. Dziękuję za udostępnienie transkrypcji.

Co tu mamy za fakty? Albo inaczej – czego to jest świadectwo? Można tak: edukacyjnego i społecznego awansu, przemian świadomościowych z tym awansem związanych, przemian tożsamościowych towarzyszących wejściu w nowe role, czy po prostu uprzywilejowania – przynajmniej, bardzo skromnego – lokalnej władzy. Ale jeśli przywileje zaczynały się już na samym dole, to jak wielkie musiały przybierać rozmiary „na górze” – można by iść tą logiką. Znamy ją doskonale, to przecież część naszej wspólnej opowieści „o PRL-u”. A więc ta interpretacja dostarczy nam kilku kolejnych drobnych faktów na jej potwierdzenie.

Ale można zupełnie inaczej, mniej podejrzliwie, z większym zaufaniem do rozmówcy – i z uwagą na wszystko co do nas (za pośrednictwem prowadzącego z nią rozmowy) mówi. A mówi wiele o tym, co udało się wspólnie w tym czasie zrobić. Nie, co zrobiłam, co zrobiła Gromadzka Rada Narodowa czy Front Jedności Narodu, ale cośmy tu, we wsi (tej i okolicznych), razem robili i zrobili. Przykłady:

Był też Fundusz, jak był jubileusz: [...] „Tysiąc szkół na tysiąclecie” – było coś takiego – ogłosili nasi biskupi Nowennę. To nasza władza ludowa zrobiła co innego: Nowennę modlić się mogą i nikt o tym nie będzie pamiętał, oni zrobią pomniki. I znów przy podatku mieliśmy swoje kwitki dodatkowe. Sołtys jak zbierał podatek, zbierał, był Fundusz Szkolny taki: „Tysiąc szkół na tysiąclecie”. Takie coś było. Więc wszyscy żeśmy płacili. Pobudowane – teraz zamykają nagminnie. Albo stoją i zieją pustkami, albo sprzedają, tak jak jest w Ostałówku ten budynek szkolny, co jeszcze ludzie, w Ostałówku to chłopci prawie go wybudowali sami, w Skubach jest, w Pogroszynie, w Cukrówce – to są wszystkie „tysiąclatki”, na które również płaciliśmy, które myśmy również budowali. [...]

Linie elektryczną jak robili, to jest rok sześćdziesiąty piąty – bodajże – tak samo tu, jak i tu, bo nie było światła. Wszystko, ta wstrętna władza zbrodnicza tą wieś postawiła na nogi, tę elektryfikację również. Bo były hasła – naczelne hasło: „Nauka plus elektryfikacja” – może tego nie pamiętacie, ale takie były. Wielkie, jak to mówią billboardy dzisiaj na dużych obiektach, gdzie było: „Nauka plus elektryfikacja” – to była dewiza tamtej władzy. Więc elektryfikacja również słupy przychodziły [...]. Tam, w Niejawie, u mnie było, a tu Jastrząb, to ile kilometrów dalej. Bo Jastrząb to będzie stąd ze dwadzieścia kilometrów. Tu nie ma w pobliżu dworca ani kolei. Bo u nas to było niecałe dziesięć kilometrów. A tutaj jest więcej. Więc przywożono w wagonach towarowych, zrzucono na bocznicę i chłopci furmankami to zwozili. Poprzywozili sami, kopali doły, sami wszystkie niefachowe roboty przy tych elektrykach robili. Mało tego, tu, jak już jestem w Broniowie, bo tam to dopiero założyli, i odeszłam, a tu jak jestem, to przez

pięć lat przy podatku za tą linię płaciliśmy. Rolnicy płacili za tą linię elektryczną, jeszcze spłacali ją. Teraz linię sprywatyzowano, sprzedano – nikt się chłopów o zdanie nie pytał. Bo gdyby tu byli cwańsi ludzie, toby się dopomnieli, bo jeszcze w archiwach gminy na pewno istnieją te kwity, gdzie rolnicy płacili za to.

Wszystko jakby znajome, znane z podręczników historii: rywalizacja państwa z Kościołem o symboliczne przechwycenie tysiącletniej rocznicy chrztu Polski, szkoły „tysiąclatki”, „elektryfikacja”, „edukacja” – kilka z wielu słów kluczy z propagandowego słownika „komunistycznej” władzy, forsującej swój utopijny projekt modernizacyjny. Wyostrzam do przesady dominującą narrację, by wyraźniej zobaczyć to, co chce nam przekazać pani Elżbieta. A mówi nam o wysiłku miejscowej społeczności, lokalnej wspólnoty, która za tymi projektami – przynajmniej po części – stała. Więcej – w nich się ta wspólnotowość – znów po części, bo nie tylko tak – zawiązywała i realizowała. Ale i to można przecież w tym zewnętrznym języku nazwać „czynem społecznym” – zilustrować jakimś zabawnym zdjęciem przedstawiającym pracujących z łopatami, w płaszczach, sukienkach i krawatach. I obśmiać.

Pani Elżbieta doskonale zdaje sobie sprawę z tych dominujących logik interpretacyjnych („dyskursów”), ciągle wchodzi z nimi w spór. I robi to na podstawie jakby tych samych faktów. Bo to nie jest przecież tak świetnie nam znane z historycznych sporów przeciwstawianie jednych faktów – innym, lansowanie własnych faktów przeciwko faktom lansowanym przez innych. Tu fakty czy informacje „bazowe” – by sięgnąć do kategorii z metodologii historii Jerzego Topolskiego²² – między narracją dużą, oficjalną, i małą, prywatną, są w pełni zgodne. Na tym poziomie nie ma żadnego sporu. Inna jest „tylko” ich interpretacja, inne są reguły ich wiązania, inne związki przyczynowo-skutkowe. Inne – choć niekoniecznie zupełnie sprzeczne i całkowicie się nawzajem wykluczające. Narracja mała rozszerza tu jakby tę dużą i niuansuje ją. Tak dalece jednak, że proponuje alternatywną logikę historyczną zbudowaną na tych samych faktach (mamy nawet zachętę, by sięgnąć do archiwum i sprawdzić dowody – „na pewno istnieją kwity”). Tutaj w tej jednej sprawie i w odniesieniu do znanego sobie, poznanego własnym doświadczeniem, świata.

Pani Elżbieta ma żal do dużych narracji, które nie chcą uwzględnić tych małych. Za dużymi stoi władza, za małymi tylko indywidualna i lokalna pamięć. Siły są nierówne, a procesy decyzyjne nieodwracalne. Zresztą te nieodwracalne procesy, które unicestwiły – już prawie zupełnie tamtą wiejską wspólnotę – były

²² J. Topolski, *Informacje bazowe jako realistyczne alibi narracji*, [w:] id., *Jak się pisze i rozumie historię*, Warszawa 1996, s. 383 nn.

w dużej mierze w ogóle „niedecyzyjne”, skoro zyskiwały od razu status dziejowych konieczności, z którymi nic zrobić się nie da. Więc nawet dyskutować z nimi nie warto. Ale nie chodzi tu o wzmacnianie historycznych żalów, lecz o dostrzeżenie w historii mówionej potencjału na opowiedzenie innej historii, na inną historyczną logikę.

Logikę, w której tamto gospodarowanie, wspólne i wspólnotowe, lokalne, wiejskie życie „w PRL-u”, miało pełnoprawny sens. To pada wprost bardzo wyraźnie z ust naszej bohaterki: „I tu wszystko miało jakiś sens”. Nie historyczny, bo nie do takiego odwołuje się pani Elżbieta, ale międzyludzki, lokalny, tutejszy. Ten sens – dowiadujemy się z tego wywiadu – dawał i wzmacniał poczucie godności. Duma z darmowego biletu młodej radnej była więc może refleksem tego poczucia godności. Tego nie całkiem prywatnego sensu, którego dzisiaj broni przed historią dominującą nieznajdącej dla niego miejsca. Broni, bo wie – ma tego liczne mocne dowody w swojej społeczności – że to, co robiła i co wspólnie robili, było dobre. Po prostu. I nie ma znaczenia, że „logika dziejów” to potem zmiotła. Pani Elżbieta wie swoje i jest to „wiedza pewna”. Fakty, przynajmniej niektóre, można sprawdzić w archiwach. Pytanie tylko, z jaką wiedzą pozaźródłową (ale też z jakimi nastawieniami, przesądami, ideologiami, filozofiami) będziemy z tych faktów układać historie.

To zaledwie kilkudzaniowe fragmenty długiej opowieści, wyimkowe migawki, dotyczące tylko kilku faktów z życia narratorki. Jednej z bardzo wielu, której świadectwo moglibyśmy poddać podobnej, może bardziej wnikliwej, bardziej uważnej analizie. Tu chodziło jednak o sprawę ogólniejszą. O próbę pokazania, że historia mówiona może być, a nawet w pewnej mierze po prostu jest, „wiedzą pewną” – a zarazem „wiedzą czyjąś”. Informacje czy fakty bazowe, które wykrawa z przeszłości, mogą być tymi samymi, na które powołuje się „prawdziwa” historiografia. Tylko historia mówiona łączy je często w inne albo w jeszcze inne całości, w inne opowieści, w inne sensory. I są to przy tym nieraz, mieliśmy tu przykład, sensory w pełni uprawnione, i to nie tylko jako „subiektywne” i „własne”.

W pogoni za coraz prawdziwszą historyczną prawdą nie zapominajmy o tej elementarnej lekcji, że historia – czy mówiona, czy jakakolwiek inna – to nie są jakieś „gołe fakty”, ani nawet ich suma, tylko powyławiane z przeszłości, ponazywane zdarzenia, procesy, ludzie, które trzeba dopiero ułożyć i które z ważnych powodów układamy w jakąś sensowną całość, w opowieść. Nikt, ani historyk, ani uczestnik czy świadek wydarzeń, nie ma monopolu na tę sensowność, a każdy zbiór faktów (choć każdy pracuje z przynajmniej trochę innym zbiorem) pozwala ułożyć wiele różnych opowieści, zapleść wiele związków przyczynowo-skutkowych. Te układane przez ludzi, którzy w dobrej wierze opowiadają o własnym historycznym doświadczeniu, o sobie, warte są co naj-

mniej naszej baczej uwagi. Przeszłość, by stała się historią, musi być czyjaś. Historie mówione od początku są czyjeś. Są świadectwem poszukiwania, nadawania, podtrzymywania (i nieraz gubienia) biograficznego sensu. Poświadcza je przecież czyjeś życie.

Nie w każdym zapisie wywiadu to widać, nie w każdym też widać od razu. Ale mój minimalny postulat na dzisiaj byłby taki, by nastawić się na taki styl odbioru tych świadectw – z rozmysłem sięgam do tej literaturoznawczej kategorii zaproponowanej kiedyś przez Michała Głowińskiego²³ – który traktuje je poważnie, jako historie uprawnione, a nawet pełnoprawne konstelacje faktów. Nawet jeśli są to tylko konstelacje lokalne, z poziomu mikro. Przy takim, niewykluczającym zaufania (co nie znaczy przecież: bezkrytycznym), nastawieniu jest szansa, że niektóre z nich staną się też naszą „wiedzą pewną”. A może nie tyle „naszą”, co „dla nas” – bo nie chodzi o to, by przyjąć czyjąś „wiedzę pewną” za własną (to niemożliwe, skoro jej fundamentem jest indywidualne doświadczenie historyczne), ale o to, by uznać czyjąś (samo)wiedzę za pewną i uprawnioną.

Może potrzebujemy dzisiaj takiej właśnie historii mówionej? Antropologicznie wrażliwej i uważnej, ale też historycznie poważnej i krytycznej. Przy tym krytycznej nie tylko wobec źródeł – tę krytykę i jej ograniczenia już znamy – ale też wobec innych historycznych opowieści. Szczególnie tych przykrawających indywidualne i lokalne doświadczenia konkretnych ludzi do rozmaitych schematów, wzorów i dziejowych „praw”. Najczęściej bez pytania ich o zdanie, a tym bardziej o ich historyczne doświadczenie.

Taka historia mówiona nie miałaby służyć budowaniu jednej historycznej narracji i kreowaniu jednolitej narodowej wspólnoty pamięci – czemu służy, i w ostatnich latach jakby coraz mocniej, znaczna część naszej najnowszej historiografii – ale pokazywaniu wielości i różnorodności takich małych wspólnot. A nawet jednostkowych doświadczeń i pamięci niewspółnotowionych. Zamiast więc dręczyć siebie i innych pytaniem, jak było naprawdę (rzekomo tylko porzuconym przez współczesną historiografię) na bliżej nieokreślonym, ale mocno uwspólnionym poziomie kraju czy społeczeństwa, historia mówiona stawia pytanie o prawdę czyjąś. A zarazem wiedzę pewną w tym indywidualnym wymiarze – na tyle, na ile tę pewność możemy ustalić.

Zamiast więc jednej historycznej prawdy ogólnej – wiele czyichś szczególnych prawd. Zamiast jednolitej, odgórnie formatowanej, wspólnoty pamięci fantazmatycznej – wielość konkretnych doświadczeń i liczne wspólnoty pamięci

²³ M. Głowiński, *Świadectwa i style odbioru*, [w:] id., *Style odbioru. Szkice o komunikacji literackiej*, Kraków 1997, ss. 116–137.

własnych, lokalnych, oddolnych. Celowo upraszczam i radykalizuję te przeciwieństwa. W każdym wywiadzie, a może i w każdym źródle znajdziemy te różne poziomy, nieraz nierozdzielnie splątane. Chodzi jednak o pewne nastawienie poznawcze, o kierunek myślenia o wywiadach historii mówionej, o ich styl odbioru właśnie.

Tych wszystkich rozdrobnionych i rozproszonych doświadczeń i pamięci (a nawet tych zawsze nielicznych, które z owych „wszystkich” zdołamy zapisać i poznać) nie da się ułożyć w jedną spójną historię. Pewnie nawet nie bardzo da się uzgodnić. Ale zamiast uzgadniać i uspoźniać można (uczyć się) żyć pośród wielości, różnorodności i sprzeczności naszych własnych historii. Nie tylko tych mówionych, ale też tych doświadczonych, tych „faktycznych”.

Jak miałby się taki pluralistyczny program wobec tradycji historii mówionej i jej paradygmatycznych zwrotów, które wcześniej charakteryzowałem? Na pewno nie wpisuje się w całości w żaden z przywołanych paradygmatów. Raczej łączy dość luźno ich rozmaite wątki w naiwnym, niestety, ale zarazem minimalistycznym przecież przekonaniu, że z pomocą antropologii i historii mówionej można zastępować zbyt jednostronnie uzgadnianą i odgórnie narzucaną (raz taką, raz inną, zależnie od tego, kto ma akurat władzę opowiadania) jedną historię, wielością różnych naszych historii, które zachodząc na siebie i stępując swoje nieuchronne roszczenia do prawdziwości i wyłączności, ułatwiają nam – i innym ludziom blisko nas i nieco dalej – wspólne życie.